

Miłość, alkohol i poezja, czyli Szymborska z mojego klucza

1. Miłość i alkohol

Kiedy w świat poszła wiadomość, że polska poetka Wisława Szymborska dostała literackiego Nobla, i ucieszyłam się, i zmartwiłam. Byłam wtedy w świecie, a dokładniej w Szwajcarii (gdzie od dawna mieszkalam), stąd mało wiedziałam o tym, jakie wrażenie Nobel zrobił na samej nagrodzonej, co historia podsumowała później jako "tragedię sztokholmską": poetka i ucieszyła się, i zmartwiła.

Czyli podobnie jak ja. Ucieszyłam się, bo poetka, którą w skrytości uważałam za swoją najulubieńszą, została wyróżniona najwyższą literacką nagrodą, co pochlebiało mojemu poetyckiemu gustowi, zmartwiłam, bo stała się z dnia na dzień osobą publiczną, przestając być tym samym prywatnie "moją".

A stała się nią pewnego letniego poranka roku 1981. Obudziło mnie trzaśnięcie drzwiami, aha, mój ukochany wyleciał do roboty. Na próbę znaczy. Musi więc być za minutę 10 (do teatru miał minutę, próby zaczynały się o 10, z pewnością zdąży!). Nie otwierając oczu włączyłam radio, które stało tuż przy moim uchu na szafce nocnej (zwanej po galicyjsku nakastlikiem). Z głośnika popłynął przyjemny niski kobiecy głos:

*Był klucz i nagle nie ma klucza.
Jak dostaniemy się do domu?
Może ktoś znajdzie klucz zgubiony,
obejrzy go - i cóż mu po nim?
Idzie i w ręce go podrzuca
jak bryłkę żelaznego złomu.*

Ależ tak, znam ten głos! I choć zazwyczaj głos na żywo brzmi troszkę inaczej, byłam pewna, że to ten, tym bardziej słuchałam dalej:

*Z miłością, jaką mam do ciebie,
gdyby to samo się zdarzyło,
nie tylko nam: całemu światu
ubyłaby ta jedna miłość.
Na obcej podniesiona ręce
żadnego domu nie otworzy
i będzie formą, niczym więcej,
i niechaj rdza się nad nią sroży.*

Słuchałam, a w okolicy serca robiło mi się z każdym słowem coraz chłodniej, znany mi głos mówił wprost do środka mojej głowy o tym, czego jeszcze nie chciałam dopuścić do świadomości:

*Nie z kart, nie z gwiazd, nie z krzyku pawia
taki horoskop się wystawia.*

"Wiersz Wisławy Szymborskiej pod tytułem 'Klucz' czytała..." - poinformował prowadzący audycję, drugi doskonale mi znany głos. Aktorka i Konferansjer. Obydwoje prywatnie byli parą. Parą, z którą my, Aktor i ja, spotykaliśmy się najczęściej, choć częściej z Aktorką, Konferansjer dołączał, gdy był w Krakowie, ale nieczęsto, bo z racji zawodu często był poza. I - czy to we czwórkę czy w trójkę - spotkania, czasami nawet wspólne wyjazdy, zawsze były bardzo udane, wesołe, inspirujące...

Ile śmiechu, ile ciekawych rozmów, ile dyskusji... świetnie bawiliśmy się razem. To wszystko miało się skończyć, właśnie uświadomił mi to wiersz Szymborskiej, rozstanie zawisło już w czasie jak czerniejące chmury burzowe - za chwilę zniknie niebo, będzie burza, nic już jej nie zatrzyma.

Wyskoczyłam z łóżka! Ja byłam w Krakowie, moje książki w Zurichu... najbliższa księgarnia! Gdzie znajdę Szymborską? Bo w tamtych czasach w sklepach, w tym w księgarniach, najczęściej słyszało się "nie ma". Pobiegałam do księgarni Matras w Rynku. Na szczęście popyt na wiersze nie był aż tak ogromny, bo oto już miałam w rękach "Wybór wierszy", wydanie z '79 roku. "Klucz" na ósmej stronie. Wiersz dla mnie odczytany mi przez... zapowiedziany przez...

Dokładnie rok wcześniej, podczas mojego pobytu w Polsce (mieszkałam wtedy już od kilku lat w Szwajcarii) wybrałam się z dwoma kolegami na pieszą wycieczkę z Rabki do Szczawnicy. Obaj byli aktorami, jednego z nich znałam od ośmiu lat, kiedy to startowałam do Szkoły Teatralnej - bez powodzenia, choć doświadczenie cenne. Start okazał się falstartem, za to zaowocował zakolegowaniem się z adeptami zawodu aktorskiego, którzy w międzyczasie pokończyli studia i pracowali w teatrach. Drugiego właśnie poznałam.

Wycieczka trwała tydzień, *Długi Deszczowy Tydzień* byłby najlepszym określeniem, ale *copyright* zaklepał już Broszkiewicz... Tak czy siak deszcz zdecydowanie podniósł atrakcyjność naszej wyprawy, był moment gdy szliśmy środkiem potoku, bo tam było i tak bardziej komfortowo, niż wśród chlastających po twarzach mokrych gałęziach drzew. Nic tak nie zbliża, jak wspólne pokonywanie trudów w wyjątkowych okolicznościach przyrody. "Mój" Aktor i ja byliśmy właśnie na swoich osobistych rozstajach uczuciowych. Z ekskursji wróciliśmy zakochani w sobie nawzajem. W konsekwencji przypieczętowaliśmy rozstania ze swoimi dotychczasowymi partnerami i oto od roku byliśmy parą.

Niestety, nie mogę powiedzieć, że bez reszty szczęśliwą. Owszem, szczęśliwą pod wieloma względami, ale było to szczęście z dużym hakiem. Hak miał imię - Wódka. Mój ukochany pił. Wcześniej też widywałam go na jakichś imprezach pijanego, zresztą wśród innych nieźle grzejących aktorów czy reżyserów, jak to w wesołym artystycznym towarzystwie, na bankietach i prywatkach, mimo to nie miałam pojęcia, co to jest "prawdziwe picie", a właściwie co to jest prawdziwy alkoholizm, nawet nie tyle choroba, ile los.... I to mimo tego, że przyjaźniłam się z poprzednią Dziewczyną Aktora i niemało nasłuchiwałam się skarg na jego pijaństwo.

<https://www.youtube.com/watch?v=GP1sNIsZ48g>

No, nie wiedziałam, a teraz wiem, że tego się nie wie, dopóki się z tym tak naprawdę nie zetknie. Właśnie się dowiadywałam. I nie było to doświadczenie z kategorii budujących. Robiłam co w mojej mocy, żeby temu jakoś zaradzić. Trzeba przyznać, że i mój ukochany też się starał, naprawdę. Przez jakiś czas zdołał się nawet powstrzymać od picia, co dla pijącego jest wyczynem heroicznym. Po czym sama mu powiedziałam, "*to już wołałam cię, jak piłeś*". Z zabawowego artysty, duszy towarzystwa z wdziękiem recytującego wiersze Jesienina na zawołanie, uroczego ulubieńca kobiet, w tym zachwyconą nim mną, zrobił się mrukliwy smutas.

Powiedziałam mu wtedy tak: "*To ty pij, a ja zobaczę, jak mi się z tym będzie żyło*". I zobaczyłam. Nawiasem, nie mam w sobie nic z tych ofiarnych kobiet, które opisał Hłasko w "Pętli", cierpliwych, wybaczących, wspierających, kochających ofiarnie, bezwarunkowo. Zresztą nie znałam jeszcze tego opowiadania. Drugie "zresztą": jestem taką samą egoistką, jak faceci, jest mi źle, to żegnam, nie poświęcę nikomu swojego życia. Koniec miłości oznacza dla mnie koniec związku. A moja miłość właśnie się kończyła.

I było mi autentycznie ciężko z tego powodu. Jeszcze się dobrze bawiliśmy, jeszcze mieliśmy mnóstwo planów, jeszcze przed nami była wielotygodniowa podróż do Szwajcarii i pełen przygód weekend we Włoszech, w Cinque Terre, pięciu cacanych kolorowych pirackich wioseczkach wlepionych w górzyste wybrzeże Włoskiej Riwiery, jeszcze nasi bliźsi niczego nie podejrzewali, a tu czas już tak się pospłatał z przestrzeni, że para bliskich nam ludzi przekazała mi wierszem Szymborskiej prosto do mózgu: to koniec!

Teraz, gdy tyle lat później piszę te słowa, wiem oczywiście, co stało się potem. Po tym dniu, w którym "Klucz" Szymborskiej otworzył mi nową przyszłość, w którą weszłam ze ściśniętym sercem, myślałam, że już nigdy więcej się nie zakocham. Nie wyobrażałam sobie takiego sprzeniewierzenia się tej, ciągle jeszcze trwającej miłości, którą uważałam za większą od każdej poprzedniej.

Równocześnie jakiś nadzwyczajny splot przypadków, w moim subiektywnym odczuciu wydarzenie bynajmniej nieprzypadkowe, spowodował, że wysłuchanie tego wiersza, w tamtej chwili, w tamtym wykonaniu, w tamtej audycji radiowej, było dla mnie przeżyciem tak mistycznym, że paradoksalnie ułatwiło mi to pogodzenie się z nieuniknionym. Kosmos do mnie przemówił: Nie masz szans, nie wygrasz z Wódką!

Znaczyło to zarazem, że skończą się emocje przedpremierowe, wzruszenia na premierach, uskrzydlające uczucie "on gra to tylko dla mnie", szampańskie bankiety po premierze, "tamte szalone" prywatki w gronie "tamtych wspaniałych" ludzi. Dłuższe i krótsze wyjazdy we dwoje, we troje, w czwórkę, albo jakąś bardziej złożoną konstelacją. Byłam znowu osobna i już sama. Tak właśnie się tego dnia poczułam. Uświadomił mi to wiersz Szymborskiej. To właśnie w tym dniu, w którym dowiedziałam się, że moja miłość nie będzie miała happy endu, zakochałam się w Autorce Wiersza.

Gdybym wtedy mogła zajrzeć w swoją przyszłość, moje zdumienie nie miałoby granic. Miłość mojego życia była dopiero przede mną! Czasowo tuż tuż, za progiem, ledwie przebrzmi burza rozstania. Acz ponownie daleko, bo znowu w Szwajcarii. Ta potrwa długo i właściwie się nie skończy, będzie trwać i po miłości, mimo - na koniec - odrębnych dróg życiowych. Jej nazwisko noszę. Do dziś określam to, co z niej zostało "pomiłością", uczuciem innym niż przyjaźń: i bliższym, bo tak wiele nas łączyło, że w każdej chwili jesteśmy sobie głębokim wspomnieniem, i dalszym, bo nie chcemy sobie przeszkadzać nadmiernym zainteresowaniem, co w przyjaźni byłoby normalne.

Gdybym wtedy mogła zajrzeć w przyszłość mojego Aktora, Ukochanego-Od-Zgubionego-Klucza, zdumiałabym się w trójnasób. Oto w zawirowanie, które się wytworzyło z powodu burzy wywołanej naszym rozstaniem, wpadła właśnie owa Aktorka, nasza wspólna przyjaciółka, która przeczytała mi "Klucz" do ucha i - nie minęło pół roku - a mozaika "kto z kim" ułożyła się całkiem od nowa: dość gwałtownie skończył się długoletni związek Aktorki z Konferansjerem i, abrakadabra, została nową partnerką "mojego" byłego Aktora, z którym zresztą przez te wszystkie lata potem spotykałam się jak z dobrym przyjacielem, takim, co to konie kraść, a i nieraz oglądałam Aktora i Aktorkę razem czy osobno na scenie, na ekranie...

I oni w końcu też się rozstali. Ale przeżyli razem cały zasadniczy środek życia. I prywatny, i artystyczny. To dla nich gwiazdy przewidziały założenie rodziny. I mocowanie się z "tą trzecią", Wódką.

Dla porządku dodać trzeba, że nie miałą rolę w tym wszystkim odegrała historia powszechna: "13 grudnia" definitywnie zmiksował wszystkie nasze miłosne konstelacje od nowiuteńka.

W lipcu 1981 Wisława Szymborska skończyła 58 lat. Ja - dzień po ogłoszeniu stanu wojennego - 28. 30 lat różnicy to powód, że chodziłyśmy tym samym Krakowem, ale innymi przedziałami wiekowymi. Gdyby nałożyć na siebie czasy, nasze drogi nieraz by się przecięły: przed wojną Wisława uczyła się w Gimnazjum Sióstr Urszulanek, ja miałam ogrody sióstr za murem od ogrodu kamienicy, w której mieszkałam, oglądałam je z naszego mieszkania, gdybym jako dwunastolatka z roku 1965 spojrzała w rok 1935, może ujrzałabym dwunastolatkę, nazywaną wtedy Ichną, jak mówi coś do siostry zakonnej pochylającej się nad grządką...

Ale patrzyłam w stronę ogrodów już dobrze po wojnie, a tamta Ichna była od dawna panią Wisławą Szymborską, poetką z dorobkiem. Gdy do Urszulanek chodziłam na lekcje religii, czasy przedwojnia były coraz bardziej odległą historią.

Szymborska długo pracowała w redakcji *Życia Literackiego*, która początkowo mieściła się przy mojej ulicy, Sarego (nr 1, na I. piętrze), więc tam mogłyśmy się mijać w tym samym czasie, ja, dziecko, ona, kobieta 7 lat starsza od

mojej mamy, na pewno nie zwracałam na nią uwagi, ale chętnie obejrzałabym migawki z monitoringów, gdyby wtedy takie były... Z ich braku ratuję się wyobraźnią: może wpadała czasami na Stanisława Lema, który po Sarego chadzał, bo mieszkała tam siostra jego żony? I zamieniali w biegu dwa słowa? Witali serdecznie? Znali się przecież z domu na Krupniczej 22, gdzie poetka wtedy mieszkała, a Lem bywał.

Potem redakcja przeniosła się na Wiślną (nr 2) i tam poetka pozostała na długo, a ja czytywałam regularnie *Życie Literackie* gdy dorosłam i zamieszkałam w Warszawie zanim wyjechałam do Szwajcarii. Nie zajmowało mnie, gdzie jest redakcja i nie wiedziałam jakie pismo miało polityczne zapatrywania na rok 1968. Za to mój stosik *Życia Literackiego* spotkał los króla Piasta. Prawie. W przeszklonej gablotce, gdzie trzymałam porządnie ułożone *Życie i Politykę* obok ogromniastej *Literatury* (kto pamięta, ten wie) pieczołowicie dokładając każde wyczytane numery, rezydował mój chomik, lubił tam przebywać. Któregoś razu przekonałam się dlaczego, od ścianki gablotki wgrzyzał się w gazety i przerabiał je na drobne strzępy, nie mniej precyzyjnie niż mechaniczna niszczarka dokumentów.

I dobrze, wkrótce wyjechałam w świat i stosy gazet i tak trafiłyby na makulaturę, trudno by je było wlec przez pół Europy. Nie studiowałam w Krakowie (a w Zurichu i - odrobinę - w Berlinie Zachodnim), nie należałam do żadnych grup zawodowych jakkolwiek łączących mnie z poetką, nie chodziłam też na spotkania poetyckie, wpiery byłam za mała, potem wyjechałam z Krakowa. Znalazłam się w Krakowie na dłużej ponownie w roku 1980. Ale już pod koniec roku 1981 skończył się dla mnie na jakiś czas Kraków.

Nie zastanawiałam się, gdzie jest Szymborska fizycznie, ani co porabia, jeśli marzyłam o poznaniu któregoś z pisarzy, to był to Stanisław Lem, mój literacki idol (to marzenie miało się za jakiś czas spełnić). Poezję czytywałam sporadycznie, bardziej interesowały mnie powieści, literatura faktu i teatr, a z pism *Ekran*, *Film*, *Magazyn Filmowy*, *Kino*, jak wszyscy słyszałam zewsząd "Nic dwa razy się nie zdarza" w wykonaniu Łucji Prus, ale chyba nie miałam świadomości, że to wiersz Szymborskiej, nie przypominam sobie...

<https://www.youtube.com/watch?v=08afxj7FiHA>

Krótko mówiąc dopiero "Klucz" stał się dla mnie kluczem do poezji Szymborskiej. Z powodu uczuciowego uderzenia tamtego dnia. Odtąd czytałam jej wiersze ze szczególną uwagą i rosnącym podziwem: była w jej wierszach lekkość pióra nawet przy ciężkich tematach, pewien niewątpliwy poetycki wdzięk przy prawie prozaicznej prostocie. To było dla mnie, wielbicielki prozy, objawienie.

Żadnych uduwnień, żadnego nadmiaru, żadnego patosu. Przy wzniosłej poezji innych poetów u niej przyjemna zwyczajność, ale też zawsze zaskakujący pomysł na zamknięte ujęcie tematu, co znowu było niezwykłe. A także miły flirt z czytelnikiem, który musiał się poczuć oczarowany. Jak ona to robiła? To pewnie ten jej delikatnie ironiczny dystans i subtelne poczucie humoru. Umiejętność zabawy skojarzeniami, które jakby migotały pośród linijek wiersza. Podobały mi się szalenie.

Lata mijały, nowych wierszy Szymborskiej nie było dużo, w sam raz, żeby się nimi bez pośpiechu delektować, moje życie z trójkąta: Zurich - Kraków - Berlin Zach. wymieniło się na trójkąt Zurich - Kraków - Morza i Oceany - bo Miłość-Mojego-Życia zamiast zostać pilotem, z czym w dorosłe życie wystartował, lub lekarzem, na co wskazywałyby wybór studiów, został żeglarzem, o czym, jak się okazało, od dziecka marzył, i co gorąco poparłam, bo uważam, że należy realizować to, co jest zapisane w gwiazdach.

Jeszcze w czasie moich studiów historii sztuki zaczęłam pisywać recenzje z wystaw do gazet zuryskich i regionalnych... i na tej fali rozszerzyłam pisanie o tematy polskie. Tak zaczęła się moja współpraca ze szwajcarską Polonią i szwajcarskim pismem polonijnym energicznie prowadzonym przez redaktora Tadeusza Wojnarskiego, poza tym artysty-malarza-pasjonata, autora niezliczonej ilości portretów uchwyconych pastelami ulic i uliczek miast i miasteczek szwajcarskich i włoskich, głównie.

Nasza Gazetka to drobne pisemko, akurat na miarę Polonii szwajcarskiej, ale, szczególnie w latach 80., jego waga

urośla, po 13 grudnia kontakty z Polską były utrudnione, a dla tych, którzy zostali na Zachodzie i wzięli azyl, wręcz niemożliwe, każdego polskiego słowa wyczekiwano.

A ponieważ do Polski nie można było, ot, tak, po prostu pojechać, nawet posiadając paszport konsularny (trzeba było mieć każdorazowo wizę i płacić kontyngent w postaci obowiązkowej wymiany walut od dnia pobytu), polscy artyści sceny i estrady, muzycy, aktorzy, piosenkarze a także pisarze, poeci, dziennikarze... zaczęli wyjeżdżać do wszystkich miejsc na świecie, gdzie były skupiska Polaków, czyli praktycznie wszędzie. Już przedtem się tak działo, ale w stanie wojennym zaczął się, że tak to ujmę, "boom na artystę przyjezdnego" (ktoś kiedyś powinien napisać o tym monografię, z pewnością byłaby ciekawa).

Kto się czuł powołany, ten organizował takie przyjazdy. W 1985 roku krakowska Piwnica pod Baranami opuściła swoją piwnicę i ruszyła w świat. Cel - Paryż. Przyszły tłumy, wśród gości szczególnie honorowanych - Polański. Byłam wtedy kilka dni w Paryżu, ale nawet nie próbowałam wejść, pogadałam tylko w garderobie z Haliną Wyrodek, z którą się w latach 80-81 kolegowałam.

Wtedy to postanowiłam zaprosić Piwnicę do Szwajcarii. Pomogli mi w tym różni ludzie, Andrzej Nurkowski i jego zespół taneczny "Piast", Barbara Młynarska-Ahrens, od wczesnych lat 70. zamieszkała w Bazylei aktorka, prywatnie siostra Wojciecha, i wielu innych. Rok później Piwnica z wielkim hukiem zjechała do Zurichu.

Barbara Ahrens, dla wielu z nas po prostu Basia, zapraszała już wielokrotnie swoich kolegów-artystów, od brata poczynając. W grudniu 1986 roku założyła *Klub Miłośników Żywego Słowa*, który działa nieprzerwanie do dziś. Odtąd kilka razy w roku zjeżdża do Szwajcarii *crème de la crème* polskiej sceny i pióra, a na spotkania z nimi (które odbywają się w różnych miejscach) zjeżdża się cała polsko-szwajcarska śmietanka. Jednym słowem kulturalne *mniam, mniam...*

A w Zurichu to ja stworzyłam scenkę - nazwałam ją *Teatr Nostalgiczny dla Każdego* parafrazując "*Teatr Magiczny nie dla każdego*" Hermana Hesse - zapraszającą małe formy teatralne. Przetrwała kilka lat. Był mój Aktor-od-"Klucza" z kapitalnym monodramem, między innymi wystąpił też [1] dla nas Krzysztof Kolberger z wierszami Miłosza... jeśli wrócić do głównego wątku tej opowieści, poezji.

A jeśli wrócić do poezji Szymborskiej, to w roku 1990 poetka otrzymała nagrodę im. Kościelskich, a właściwie przyznano jej wyjątkowo nagrodę im. Zygmunta Kallenbacha, zmarłego prezesa Fundacji Kościelskich (od 1964 roku), za najwybitniejszą książkę ostatniego dziesięciolecia, "Ludzie na moście". To najwyższa, poza granicami kraju, stała polska nagroda literacka, a że z siedzibą w Genewie, więc dla Polaków w Szwajcarii ma szczególną wagę, komu zostanie przyznana.

W roku kolejnym dobra wiadomość z Niemiec, Wisława Szymborska zostaje uhonorowana Nagrodą im. Goethego. Odbiera ją osobiście we Frankfurcie nad Menem. Jej tłumaczem na niemiecki jest Karl Dedecius. Że jest bliskim jej przyjacielem, a był także przyjacielem jej zmarłego półtora roku wcześniej towarzysza życia Kornela Filipowicza, nie wiedziałam, tak jak nie wiedziałam, że ona i pisarz byli parą (a byli razem do jego śmierci przez 23 lata).

Nie wiedziałam też, że poetka niechętnie wyruszała z domu w wojaże jakiegokolwiek. Jako że nie znałam jej osobiście, nie obracałam się w kręgu osób ją znających, nie śledziłam też notowań noblowskich, nie miałam pojęcia, jak wygląda jej życie prywatne i że w ogóle była brana pod uwagę do Nobla. Zresztą pomyślałabym, jak chyba wszyscy w tym ona sama, że skoro Nobla całkiem niedawno dostał Miłosz, to na kolejnego polskiego Nobla trzeba będzie dłużej poczekać. Gdybym wtedy mogła zajrzeć w przyszłość...

Na razie chętnie czytałam jej wiersze i felietony, życiem prywatnym się nie zajmowałam. Moi znajomi poloniści z mojej fascynacji jej poezją - o ile w ogóle się zwierzałam - z lekka pokpiwali sobie nazywając ją cokolwiek protekcyjnie "babcią Szymborską", jeszcze piszącą, ale już zaprzeszłą. I nagle bomba! Szymborska dostała Nobla!

Choć słyszałam, jak do Nobla odniósł się Hemingway ("*nikt, kto dostał Nobla, nie napisał już potem niczego, co warto byłoby przeczytać*"), wiedziałam też, że przyjęcia Nobla odmówił Sartre, znałam jego autobiograficzne "Słowa", za które dostał Nobla, i jego słowa, że "*nagrody ograniczyłyby jego wolność*", jako ten "cywil", czyli osoba niepretendująca swoim zajęciem do Nobla, uważałam, że wiadomość o przyznaniu nagrody musi nagrodzonego uszczęśliwić bez reszty.

Początek grudnia roku 1996 roku spędziłam w Krakowie i oczywiście oglądałam migawki z wręczenia Nobla i kolacji noblowskiej w telewizji polskiej. Wtedy też - poprzez media - dotarło do mnie, że Szymborska miała do Nobla stosunek ambiwalentny. Oczywiście musiała ją cieszyć. Ale z relacji ze Sztokholmu wynikało także, że nagle popularność ją męczy. W końcu miała już 73 lata i chciała mieć spokój, a nie tłumy dziennikarzy na karku.

Dlatego, choć odnotowałam w *Naszej Gazetce* sukces polskiej poetki, nie próbowałam nawet dopchać się do wywiadu z Szymborską. Wielkie światowe pisma miały pierwszeństwo. W czerwcu 1989 roku gościem Biblioteki Muzeum Polskiego w Rapperswilu był krakowski poeta Bronisław Maj zaproszony przez parę polonistów zamieszkałych w Zurichu, moich znajomych. Para ta wydała tomik poezji Maja. A ja pisałam:

"Obrazy wywołane opisami poety mobilizują wyobraźnię do tego stopnia, że odbiór ich jest czynnością wzbogacającą czytelnika/słuchacza o konkretne - a nie wyimaginowane przeżycia. Są doświadczeniem rzeczywistym, które zarejestrowuje pamięć, przetwarza świadomość i z którego będzie można - już wtedy z siebie - czerpać na przyszłość. Taką wartość widzę w wierszach Bronisława Maja. Wierszach, których trudność polega na oczekiwaniu aktywnej współpracy ze strony ich odbiorcy. Wierszach pozbawionych rymu i rytmicznej struktury poezji rozumianej klasycznie, będących raczej kawałkami poetyckiej prozy, niż wierszowaną narracją. Wierszach, których prostota wypowiedzi i naturalność formy jest ich bogactwem."

Gdybym to ja wtedy wiedziała, że Bronisław Maj tak blisko zna Szymborską! Ale nawet istnienie *NaGłosu*, w Krakowie wydarzenie kultowe, dla mnie, w Zurichu, było abstrakcją. Trzeba było być na miejscu, w Krakowie lat 80., żeby uczestniczyć w jego życiu kulturalnym. A właśnie wtedy do Polski jeździło się z utrudnieniami. Gdybym wiedziała, może zdołałabym poznać Szymborską, porozmawiać z nią... ale nie wiedziałam. A po Noblu było za późno!

Wszyscy byli zaskoczeni Noblem dla Szymborskiej, a najbardziej ona sama, ale przecież była na liście branych pod uwagę. "Zdarzyć się mogło, zdarzyć się musiało" [2] pisze Marta Fox w *tużponoblowskiej* książce o poezji Wisławy Szymborskiej. Zaskoczenie było, ale przecież nie absolutne. W jakiś tajemniczy sposób spełniła się profetyczna przepowiednia którejś ze szkolnych koleżanek Szymborskiej w wypracowaniu o przyszłości uczennic Gimnazjum Sióstr Urszulanek. Może miały w tym swój udział gwiazdy?

Gdy już zdumienie wybrzmiało, a określenie "noblistka" przylgnęło na stałe do nazwiska "Szymborska" i stało się to normalne, że nie tylko Kraków, nie tylko Polska, (nie tylko ja) podziwiałam (my) poezję Szymborskiej, ale cały świat, jej wiersze przetłumaczono na wszystkie najważniejsze języki, a poetka mimo swojej niechęci do podróży i tłumnych spotkań zaczęła jeździć więcej niż przez całe swoje życie, i w moim życiu nastąpiła kolejna losowa wolta. W mojej prywatnej skali bardziej nieoczekiwana niż Nobel dla Szymborskiej. Zaczęłam pisać wiersze!

Gdybym w grudniu 1996 roku ciesząc się Noblem dla Szymborskiej zajrzała do szklanej kuli i wypatrzyła tam grudzień 1998, zdumienie moje nie miałoby granic. Pał sześc, że skończył się mój związek z Żeglarzem, który ostatecznie odpłynął w siną dal, dla żeglarza to zwykła kolej rzeczy, żona żeglarza musi być na taką ewentualność przygotowana, dobrze, że się nie utopił... ale że ja zaczęłam pisać wiersze?! Nic, tylko zmaterializowało się wtedy w moim życiu powiedzonko "bądź mądry i pisz wiersze". I takie cuda się zdarzają! Acz nie z jasnego nieba. Wakat w moim życiu uczuciowym zajął Poeta [3].

2. Miłość i poezja w kolejnej odsłonie, obie części ukazały się w nr 7/8 2015 "Edukacji Dialogu", poniżej mój Żeglarz 20 lat po naszym rozstaniu, 15 po ostatnim wspólnym rejsie (już po rozwodzie) i dwukrotnym opłynięciu świata:

<https://www.youtube.com/watch?v=zNh56ZKa4HY>